№ 11 WARSZAWA, DNIA 15 MARCA 1913 ROKU ROK III



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

Pietrek wdzięczny za wyraźną życzliwość starego, podniósł się, przelazł przez płot.

— Niech wam Pan Bóg...—zaczął.

— Ho! — przerwał mu stary, — ucieka kto? A niechże mu ta na zdrowie będzie. Tylo co użyje tego wiatru i słońca...

Pietrek pobiegł w dół ku rzeczce. Stach i Hieronim czekali go niecierpliwie, ukryci w łozach.

— A co?

— Pojechali dalej!—zawołał Pietrek.

— Nuże, nuże! - rzekł Stach, którego głód trapił, — do wsi co żywo! Porządna wieś, pleban być musi, dadzą nam suszonej ryby albo grochu.

— Ale!—odpowiedział Pietrek,—ci piekielnicy wszędzie o nas rozpytują, ani się opatrzymy, jak nas im ukażą, ledwieby nas na ulicy ujrzeli.

— Przyjdzie z głodu umierać, — rzekł Stach smutnie opuszczając głowę.

— Przyjdzie! przyjdzie! — szydził Pietrek z jego litewskiej mowy. — Takiś dorodny urósł jak niedźwiedź, a skwirczysz gorzej baby!

— Może minęli wieś, — rzekł Hieronim,—myślą, żeśmy gdzie niedaleko.

— A jak są we wsi?

— Słuchajcie, pójdę obaczyć, — rzekł nagle Hieronim.

— Ani gadania!—odparł Pietrek.—Jeśli

na kogo, to na ciebie polują. Ja idę, bo Stacha, jak jeno zagada, zaraz poznają że z daleka.

— Ale się wnet wracaj!—zawołał jeszcze Stach.

Pietrek pobiegł.

W krótką chwilę powrócił uradowany.

— Żywo! żywo! — zawołał Pietrek. — Wskok do plebana!

— Do plebana?

— Prędzej!

— A Sebastjan?

— Nigdziem go nie widział. Chodźcieże!

Zebrali się i poszli szybko z Pietrkiem.

Otóż w tej wsi był pleban, który wszystko robił wedle swego rozumu, co jest rzecz rzadka między ludźmi. Czego się nie tknął, to jakoś tak ułożył, że wszyscy mu się dziwowali, z daleka i zblizka.

Teraz,że był Wielki Tydzień, pleban przygotowywał bardzo piękne przedstawienie na Wielki Piątek. Zawczasu już ponauczał chłopaków, jak mają grać i co mówić. Występować bowiem mieli w tem przedstawieniu, św. Piotr, Matka Boska, św. Jan, Marya Magdalena, Nikodem, Piłat, rabini żydowscy, żołnierze, Judasz, aniołowie i djabli. Uczył ich długo, przez cały post, a tymczasem starał się, aby mieć dla nich co do przebrania potrzebne.

Był tam w sąsiednim miasteczku rybałt *) jeden, uczący w tamtejszej szkole. Ten rybałt miał takie stroje i maszkary w swojej szkole, jakich nasz ksiądz potrzebował do przedstawienia. Pleban prosił go od zapust parę razy i bardzo usilnie i z naleganiem, aby mu tych strojów pożyczył. Ale ani prośby, ani gniewy, ani groźby, nic nie trafiało do ucha rybałtowego, i jak przedtem byli przyjaciółmi, tak teraz stali się wrogami dla tej sprawy. Pleban się zawziął, i maszkary sobie nagotował, podostawał skąd mógł. Ale miał gorzki żal i gniew do rybałta, i przemyśliwał jakby się na nim pomścić i dać mu uczuć, iż sobie szkaradnie postąpił.

Aż tego rana chłopcy przybiegli do niego z wiadomością, iż rybałt konno gdzieś jechał, w karczmie we wsi stawał, i że pod wieczór wracać będzie, obiecywał.

Pleban pilnie ich wysłuchawszy, wnet obmyślił, co mają czynić. Kazał chłopakom na popołudniu się zejść, stroje co najstraszliwszych djabłów między siebie rozebrać, jeszcze im różne garnce żelazne i kociołki rozdał i inne poprzynosić polecił, i z tem wszystkiem wybrać się mieli do lasu nad drogą.

Właśnie w czasie tych przygotowań na plebanji przyszedł tam Pietrek.

— U mądrego nie masz nic zbytniego! — powiedział pleban, zasłyszawszy, iż trzech żaków w podróży o nocleg go prosi. I kazał Pietrkowi co żywo swoich przyjaciół przywieść, by ze wszystkimi do owego lasu na zasadzkę poszli.

Skoro przyszli na plebanję, już wszyscy byli gotowi. Dano im także jakieś płachty czarne i czerwone, i blachy i pałki w ręce: i ruszyli wszyscy razem ścieżką poza sadami, za plebanem, który prowadził. Szli jakiemiś drogami polnemi, obrosłemi tarniną, która już kwitła bielutko. Cicho szli, tylko garnki żelazne i blachy pobrzękiwały, i chłopcy, ciesząc się, trącali się i umawiali jak się dobrze zabawią, aż im się oczy świeciły.

Przyszli do lasu ciągnącego się wzdłuż drogi, którędy rybałt do swego miasteczka miał wracać. Tu wśród gęstych zarośli wszyscy poubierali się. I aniołowie, i apostołowie i święci, każdy za djabła albo straszną maszkarę. Istny sejm pie-

*) Śpiewak.

kielny, bo niektórzy mieli i rogi, i pyski straszliwe przyprawione.

Tak sprawieni zaczaili się blizko drogi między zaroślami, tak, że ich nic widać nie było, ktoby od drogi patrzał.

— Teraz—powiedział im pleban, przechodząc koło nich, bardzo rad, — leżcieże cicho jak ryby, aż zobaczycie, że Banek jedzie. (Tak się nazywał ów rybałt.) Gdy już prawie do nas dojedzie, tedy wszyscy wrzaśniecie społem i wyskoczycie ku niemu na drogę bębniąc w kociołki i blachy, co je macie, i wrzeszcząc, i za nim pogonicie, iżby mniemał, że djabli są.

Chłopacy ledwie słuchali. wypatrując tylko czy nie jedzie rybałt, i pleban sam też usadowiwszy się w krzaku, wyglądał.

Gdy tak cicho siedzieli, Pietrek nie mógł wytrzymać, i śmiejąc się, zaszeptał do swoich towarzyszy wpół zduszonym głosem:

— Oj zgraja-ci to, zgraja! Jak wypadnie, to nie jeden rybałcina, ale i całe wojskoby się nastraszyło.

— Zobaczymy jakiego ma konia — odpowiedział mu Hieronim szeptem. — Jeśli młody, to poniesie, a jeśli stary a mądry, to nic. Ja, żebym jechał na Wołoszynie co jest u nas, i żeby sto djabłów na mnie wyskoczyło, tobym nie uciekał, ani onby się nie spłoszył.

— E, jeśliby prawdziwe djabły... — zaczął Stach.

Ale nagle urwał, bo Pietrek aż się nawpół podniósł, tak patrzył na drogę. Porwał się i Hieronim, a między zaroślami przeszedł ruch i szeleszczenie mocne, wszyscy się gotowali.

Drogą nadjeżdżał z dala rybałt, ale nie sam. Jechało z nim dwu jeźdźców, których żacy odrazu poznali: Sebastjan i Szymek.

Pleban poruszył się i psyknął na swoich chłopców;

— Czekajcie!

Jezdni zbliżali się coraz więcej, niczego się nie spodziewając.

Rozprawiali głośno, Sebastjan wyrzekał, że się musi tłuc po drogach.

— Szukaj wiatra w polu!—mówił. – A gonić ich mam by i do samego Krakowa.

Już dojeżdżali do zarośli. Wtem z wrzaskiem, z waleniem w blachy i kociołki. wyskoczyły straszne wiły z krzaków i rzuciły się ku jeźdźcom. Konie skoczyły: ci, zachwiani trochę w siodłach, hamowali je, nic nie rozumiejąc o co idzie, aż widząc pędzące za nimi z wrzaskiem djabły, w okropnym popłochu puścili konie do ucieczki, ścisnąwszy im jeno boki nogami ze strachu.

Konie poniosły ich jak oszalałe. Sebastjan miał najlepszego, poleciał na czele, pognał jak ptak. Za nim Szymek. Rybałt miał narowistą i złą kobyłę, ale nie bardzo płochliwą. Ta więc najpierw, wskoczywszy, poczęła wierzgać jak szalona, ale rybałt upadłszy jej na szyję przyczepił się jak kleszcz, i ryczał ze strachu, podskakując jak wór za każdem wierzgnięciem. Djabły waląc w swoje blachy i kotły, niby z piekielną kapelą pędziły ku niemu, wyprawiając dziwne skoki. Wtem kobyła porwała się, i dawszy parę susów i jeszcze parę razy wierzgnąwszy, popędziła za tamtemi końmi, z rybałtem bardziej umarłym niż żywym na grzbiecie.

Djabły trochę pogoniły za nią, ale widząc, że znikła w zakrętach drogi, wróciły się, upadając niemal ze śmiechu, w zarośla, i tam zdejmowały swoje maszkary i odkładały swoje cymbały i kotły.

Pleban stał wśród nich, i rad bardzo śmiał się do łez, i chwalił przez śmiech:

— O moje djabły, moje djabły! Jakże wy dobrze zagracie! Jakże wy dobrze jutro zagracie! Na me gardło, ani w samym Krakowie tak grać nie zdolą, jako wy umiecie!

Potem, wszystkie rzeczy zabrawszy, poszli na wieczerzę. Wszyscy bardzo byli weseli, i gdyby nie był Wielki Tydzień, byliby śpiewali. Ale nikt z nich ani wiedział, że trzej nowi byli ze wszystkich najbardziej ucieszeni, gdyż niespodzianie im się udało przepłoszyć swoich ścigaczy.

Trzej żacy dostali kaszy na oleju z grzybami na wieczerzę i poszli spać na siano do stodoły. A na rano pleban kazał im do kościoła wcześnie przyjść i pozamiatać, bo chciał żeby mu do mszy służyli, będąc uczeńszymi od jego chłopaków ze wsi.

— Dzwonić nie będziem—rzekł im rano, gdy się gotował do mszy—bo Wielki Piątek. Dzwonnik, już od wczoraj, pijanica, w karczmie pod ławą wypoczywa. Nuże, wychodzim. Podaj albę... Kapę wywróć, bo tamta strona od święta, nie widzisz, że czerwona? Na dziś dobra i ta.

Kapa miała podbicie stare, ciemne, z fijoletowej kitajki i wyglądała żałośnie jak przystało.

Zaraz po mszy miało się zacząć przedstawienie u grobu urządzonego z boku w kościele. Napchało się ludu co niemiara, tak, że ci co grać mieli, ledwie mogli się do grobu docisnąć.

Msza się zaczęła. Ledwie ksiądz dokończył „Introitus”, poczęło napływać ludzi jakichś nie tutejszych. Dworscy jacyś w szumnych szatach. Wnieśli kobierczyk, posłali, na nim klękła pani, bardzo widać dostojna.

(D. c. n.)

POGON NAOKOŁO ZIEMI

OPOWIADANIE WSPÓŁCZESNE

opracował J. Szczawiński.

Ciąg dalszy.

Inżynier miał ciągle nadzieję, że przyjdą mu z pomocą przyjaciele, którzy, jak przypuszczał, muszą znajdować się niedaleko. Lecz nadzieja jego słabła coraz bardziej, im bliżej byli bandyci swego celu. Jazda trwała aż dwie godziny, a biedny więzień z bólu znów stracił przytomność.

Było już zupełnie ciemno, kiedy grupa jeźdźców przybyła do fermy. Mężczyzni zeskoczywszy z siodeł, znieśli skrępowanego do domu i z zachowaniem wszelkich ostrożności rozwiązali pęta, Jan nie mógł ruszyć ani nogą, ani ręką, tak mocno wpiły mu się w ciało sznury. Prosił o wodę i chciwie pił podany podany przez Allana orzeźwiający napój. Następnie znów popadł w stan omdlenia.

Gonzales i Czarny Dik przyszli do prze-

konania, że muszą wpierw dać zupełny wypoczynek swej ofierze, zanim przystąpią do interesu. Postawili przed nim kilka kawałków chleba i wskazali łóżko polowe w dobrze strzeżonym pokoju.

Pozostawiony sobie i nieco wypoczęty Jan, począł badać swoje więzienie. Jednak możność ucieczki wydała mu się wykluczoną. Wązki pokój posiadał wprawdzie okno, lecz znajdowało się ono tak wysoko nad podłogą i było tak małe, że nikt nie mógłby się przez nie wydostać!

Westchnąwszy poddał się losowi, wyciągnął się na skromnem posłaniu, szukając w śnie zapomnienia i pokrzepienia.

Najlepszy przyjaciel człowieka wziął go w swoje objęcia i wkrótce miarowy, spokojny oddech oznajmiał, że Jan pogrążył się we śnie.

ROZDZIAŁ VII.

Oswobodzenie.

Więzień przebudził się nagle po północy.

Co to było? Czy to nie strzał?

Uniósłszy się na posłaniu nadsłuchiwał w ciemnicy.

W domu zrobił się ruch, słychać było głosy i dzikie przekleństwa. Potem znów strzał — jeszcze jeden, drugi, trzeci, czwarty — wreszcie cała kanonada! Jan słyszał jak drewniane ściany domu trzeszczały od kul, które zdawały się gonić jedna drugą, czarny Dik rozkazywał zaś donośnym głosem:

— Chłopcy, na palisady! Zatarasować wrota! Tom, Johny, chodźcie żywo! Gdzie jesteś, Alfons? Gdzie tchórz się skrył?

Niezmiernie rozdrażniony Jan zerwał się z łóżka na równe nogi—radosna myśl przyszła mu nagle do głowy: to musi być Wilk, to muszą być przyjaciele, wybawcy! Wkrótce zaniepokojony pomyślał sobie: coby to było, gdyby Allan wraz ze swymi ludźmi wyniósł go z tego ukrycia i dopuścił się jakiegoś zbrodniczego czynu?

Pociemku namacał drzwi. Na szczęście znalazł mocną zasuwkę, o której widocznie bandyci zapomnieli! Jedno pchnięcie i drzwi były zamknięte. Był to już najwyższy czas, gdyż po chwili ktoś próbował otworzyć drzwi — lecz napróżno!

Znów rozległy się strzały, znów posypały się kule na ściany strażnicy, a wśród ogólnej wrzawy słychać było wciąż zagrzewające nawoływania czarnego Dika.

Drżąc ze wzruszenia, zrozpaczony, że w bezczynności musi oczekiwać swego losu, Jan starał się choć słuchem śledzić przebieg walki. Widocznie osaczyli zagrodę ze wszystkich stron, lecz obrona była równie silna jak i atak. Gdyby oblężonym udało się odeprzeć atak, co wtedy?

Te straszne chwile wydawały się uwięzionemu długiemi godzinami. Chwilami zdawało mu się, że energja atakujących słabnie, jak gdyby odstępowali, napewno daleko już musieli być odsadzeni od zagrody.

Lecz wkrótce zabrzmiał głos Allana:

— Łajdaki! Chcą nas podpalić! Chłopcy, prędzej wody!

Przez małe okno pokoju Jana dolatywał zapach spalenizny. Niewątpliwie oblegający musieli rzucać w zagrodę jakieś palne materjały, aby prędzej złamać opór broniących się. Nowy niepokój ogarnął uwięzionego: jeżeli zagroda zacznie się palić właśnie z tego miejsca, gdzie znajduje się jego kryjówka, wtedy byłoby po nim!

Słabe światło świtu wkradało się przez okno do pokoju Jana. Zapach spalenizny stawał się coraz silniejszy, nagle rozległ się przeraźliwy krzyk, na który odpowiedziały znów strzały. Drzewo trzeszczało

pod razami topora i rozpryskiwało się na drobne kawałki.

Znów wśród wrzawy słyszał Jan przeraźliwy głos czarnego Dika, lecz nagle załamał się w środku słowa - i zaraz potem inne znów głosy wołały:

– Słuchajcie! Poddajemy się! Wchodźcie, otwieramy wrota!

Słowa zamieniły się w czyn; Jan słyszał dalej kroki wchodzących mężczyzn i poznał głos Wilka, który wołał:

— Gdzieście ukryli więźnia? Prędzej, gadajcie!

Jan począł bębnić pięściami w drzwi; następnie odsunął zasuwkę. Zzewnątrz otworzono mu zamek, młodzieniec wyskoczył ze swej kryjówki i ujrzał przed sobą Wilka i Monsarda, po za nimi zaś kilku obcych mężczyzn.

— Dzięki Bogu! – zawołał fermer, wyciągając ręce do uwolnionego. — Już niespokojni byliśmy o pana, lecz, zdaje się, nic złego panu nie uczynili ci bandyci?

— Już po raz drugi zawdzięczam panu ocalenie, tym razem prawdopodobnie życie—powiedział wzruszony Jan, ściskając dłoń dzielnego człowieka.

Wilk przerwał mu dalsze słowa, i wskazując na swych towarzyszy, rzekł:

— Tylko tym przyjaciołom i zacnym sąsiadom należy się podziękowanie, gdyż bez ich pomocy nic byśmy nie wskórali. Lecz zamiast prawić sobie nawzajem komplementy, uprzątniemy lepiej stół. Gdzie macie pana domu?

Kilku ludzi złapało i przyciągnęło silnie opierającego się czarnego Dika. Jana ogarnęło współczucie na widok złoczyńcy, znajdującego się w tak żałosnym stanie. Widocznie zraniony był silnie w głowę, krew spływała mu z czoła, a ręce miał skrępowane mocno na plecach. Również i innych, przeważnie poranionych, obezwładnili w ten sam sposób.

— Gdzie jest meksykańczyk, który ukrył się w waszym domu, Ryszardzie Allanie?—spytał Wilk.

Uwięziony utkwił wzrok w ziemi i wzruszył ramionami.

— Idźcie i szukajcie go—odparł ochrypłym głosem —ja nie wiem. Tchórz, usłyszawszy was, w jednej chwili zniknął bez śladu.

Czarny Dik mówił prawdę, ponieważ kilku ludzi oznajmiło właśnie że napróżno przeszukali cały dom i zabudowania: Gonzalesa nigdzie nie można było znaleźć.

— Odjechał stąd na siwym koniu — rzekł jeden z ludzi Allana—widziałem to na własne oczy.

— Właściwy sprawca waszego nowego i mam nadzieję, ostatniego figla—ciągnął Mistrz Wilk — niestety umknął nam, lecz tym razem, panie Allanie, sprawiedliwość będzie ci wymierzona. Dosyć już nabroiłeś wraz ze swemi pomocnikami w naszej okolicy. Porwałeś tego młodego człowieka i uwięziłeś go. W jakim celu?

— Alfons Gonzales winien temu — zawołał Dik i tupnął zuchwale nogą.—Tylko aby mu dogodzić, dopuściłem się tego czynu. Chciał coś od tego pana wymódz, lecz nie wiem co. Już od kilku dni szukał was, dla tego też musiałem powlec się za wami do kanjonu i już tam chciałem się z wami rozprawić. A wiecie dlaczego tego nie uczyniłem?—myślałem, że nie dam sobie z wami rady.

— Znaczy, że już wtedy widzieliście, że prędzej my się z wami rozprawimy i dlatego wasza ostrożność była większa niż męstwo—dodał zimno Wilk.

Przysłuchujących się fermerów rozmowa ta poczęła niecierpliwić i z nienawiścią rzucili się na skrępowanego.

— Poco tyle gadania!?—zawołał ktoś.— Nie warto z nim robić tyle ceremonji! Przebrał miarę, na gałąź go!

Trzech mężczyzn porwało go natych-

miast, już go zaciągnęli pod drzewo, już ktoś przygotował ze sznura pętlicę i zarzucił mu na głowę.

Wtem zjawił się Mistrz Wilk i zawołał:

— Koledzy, zatrzymać się! Zastanówcie się, przecież jesteście chrześcijaninami, a nie dzikimi. Nie obarczajcie waszych sumień grzechem samosądu! Tego człowieka trzeba oddać pod prawdziwy sąd, który wytoczy mu proces podług prawa. Myśmy powinni tymczasem opatrzyć mu rany, a resztę zostawić sądowi.

Głos rozumu i uczciwości zwyciężył. Zawstydzeni swą porywczością, fermerzy puścili złoczyńcę, lecz zamknęli go w pokoju wraz ze wspólnikami, aż do przybycia sędziego, który całą tę szajkę miał odprowadzić do najbliższego więzienia.

Kiedy fermer wraz z Janem i Monsardem opuścił miejsce burzliwych wydarzeń i wracał do swej fermy, opowiedział inżynierowi o tem co zaszło.

— Widzieliśmy jak koń poniósł pana — opowiadał fermer — lecz wkrótce zginął nam pan za skałami z oczu; ponieważ mieliśmy pana za dobrego jeźdźca, więc nie przejęliśmy się tem bardzo, lecz spodziewaliśmy się wciąż, że pan wróci. Jednak po pewnym czasie, widząc, że pan nie wraca, zaczęliśmy się niepokoić i pojechaliśmy szukać pana. Napróżno! Pomimo wszelkich usiłowań nie znaleźliśmy pana, a na skalistym gruncie nawet śladu kopyt końskich nie było znaku. W kilka godzin przeszukaliśmy całą okolicę, ciężka to jednak praca w tym kraju, pełnym przeszkód. Wreszcie zobaczyliśmy pańskiego konia i złapaliśmy go; byliśmy pewni, że musi pan gdzieś niedaleko leżeć poraniony.

Na szukaniu zeszedł nam cały dzień. Posłałem Ima do fermy, aby przyprowadził psy. Wróciwszy, cowboy opowiadał, że właśnie bardzo daleko widział czarnego Dika z jego szajką.

D. c. n.

Palmowa Niedziela.

Pamiątka uroczystego wjazdu Chrystusa do Jerozolimy, jako jednej z najdonioślejszych chwil w życiu Jego — jest dotąd w całem chrześcjańśtwie uroczyście obchodzoną.

Droga usłana liściem zielonem, kwieciem i szatami rozradowanego tłumu, wiodła do miasta, za którem widniała Golgota, gdzie po dniach pięciu, Boski Nauczyciel, głoszący „dobrą nowinę”, życie Swe miał oddać na świadectwo Prawdzie.

Było Mu to wiadomem, lecz nie zboczył ze Swej męczeńskiej drogi.

W kraju naszym, po ciężkiej zimie, nie mamy zwykle na tę rocznicę zieleni ani kwiatów; tylko srebrno - szare pączki wierzby zwiastują bliską już wiosnę — i są symbolem odrodzenia po śmierci pozornej.

W oczekiwaniu radosnego Święta Zmartwychwstania, ze srebrnych pączków wierzby, kwiatu trzciny i zieleni borówek lub barwinku tworzymy nasze palmy, poświęcane w Kwietnią Niedzielę.



Marja Buyno.

KOLEDZY.

Ciąg dalszy.

Kochany i szanowany przez wszystkich, z wrodzonym sobie taktem wynajdywał zawsze doskonały sposób, by zachować swą powagę, a jednocześnie uwzględniać życzenia uczniów.

— Co teraz będzie?—przebiegło trwożne pytanie przez głowę chłopców.

A profesor Molski ze zmarszczonem czołem stał pośrodku klasy, nie mogąc się zdobyć na jakieś postanowienie.

Co za fatalizm! Tak chciał pomódz biedakowi, a tymczasem i ten środek przeciwko niemu się zwrócił.

— Czy nikt nie napisał wypracowania?— zapytał szorstko.

— Nikt! — rozległ się chór zgodnych głosów.

— Jakim sposobem się stało, że ty napisałeś? — zwrócił się do Michasia, który siedział jak skamieniały, błędnym wzrokiem patrząc przed siebie.

Na pytanie zwrócone ku sobie nie odpowiedział, jakby go nie słyszał.

— Czy wszyscy zgodzili się na nienapisanie wypracowania? — pytał dalej wiedząc, że Michaś nie jest zdolny do dania odpowiedzi.

— Wszyscy.

— Czy i Strzembosz także?

Cisza zapanowała. Chłopcy spoglądali po sobie niepewnie.

— Nie, Strzembosz nie brał udziału w naszem postanowieniu!—rzekł wreszcie Zygmunt.

— Ale nie mógł o tem nie wiedzieć, nie mógł nie słyszeć zdaleka! — zawołało kilka głosów.

— Dosyć! Sami rozsądźcie, czyście postąpili po koleżeńsku względem Strzembosza. To wasza sprawa! Wypracowanie na ten sam temat napiszecie na następną lekcję. Ponieważ temat wydaje się wam zbyt łatwym, uprzedzam iż będę dla waszych prac bardzo surowym. A teraz przystępujemy do lekcji.

Głęboka zmarszczka nie ustąpiła z czoła profesora Molskiego przez całą lekcję, nad którą unosiła się jakby ołowiana chmura przymusu, żalu i przygnębienia.

Chłopcy byli niezadowoleni z siebie i z profesora. Woleli by, aby ich ukarał, lub się gniewał. Ten Strzembosz też niepotrzebnie tu się wplątał i właściwie nie są wobec niego w porządku. Nieruchoma, ziemisto-szara twarz potępionego przez wszystkich kolegi, niepokojem niezrozumiałym targała ich dusze.

(D. c. n.).

ZUCH.

— Cóż za szkaradny czas, panie brygadjerze! — zawołał młody strażnik pograniczny, zacierając skostniałe ręce. W nocy będzie napewno śnieg!

I rzeczywiście, lodowaty wiatr dął z wściekłością w tym zapadłym kącie Ardennów — noc zapowiadała się ciężką i mroźną.

Zaledwie na parę kroków przed sobą można było coś widzieć w gęstym lesie pełnym wrzosowisk i zarośli, rozciągającym się wzdłuż granicy francusko-belgijskiej, między Ginet a Charlemont. Na małej polance, skąd się rozchodziły ścieżki w różnych kierunkach, był posterunek dzielnego brygadjera Jana Labat i jego podwładnego, Piotra Jartoux. Noc tę mieli spędzić w lesie, lecz to nie przerażało tych dzielnych ludzi — swą ciężką służbę pełnili oddawna, pod skwarnem słońcem, na dokuczliwym mrozie — byli zahartowani na wszystko; leżąc na łóżkach polowych, ukryci w rodzaju worków, podbitych wewnątrz baranim kożuchem, rozmawiali cicho:

— I to napewno dzisiejszej nocy, brygadjerze?

— Zobaczymy, mój chłopcze! W każdym razie, nie potrzebujemy się niczego obawiać—przywitamy ich porządnie!

— A niechby już raz przyszli! Ósma doba mija od czasu, kiedy nam zapowiedziano przejście tej bandy — i nie widać żywego ducha! Było to zupełną prawdą. Ci nicponie, którzy trudzili się przemycaniem tytoniu lub koronek, nie przebierali w środkach i życie strażników pogranicznych było w ciągłem niebezpieczeństwie. Przemytnicy, zazwyczaj dobrze uzbrojeni, nie szli nigdy liczniejszą gromadą, lecz rozbijali się na małe oddziałki, które dopiero łączyły się z sobą w razie niebezpieczeństwa, lub po przejściu granicy. Biada strażnikowi, który między nich wpadnie! Jeśli tylko który z nich walcząc ręcznie poczuje słabnącą swą siłę, ma zawsze w pogotowiu wielki nóż, który zwycięstwo w jego stronę przechyla, jeśli nie nadbiegnie wcześniej z pomocą który z towarzyszy, lub wielki brytan. Psy te sprawiały dzielnemu brygadjerowi wiele kłopotu - mawiał też często z gniewem:

— Ci pomocnicy są jeszcze gorsi niż ich panowie! A jak to chodzi cicho—bez najmniejszego szmeru! Każdy z tych czworonożnych łotrów zna dobrze granicę, to też ją przechodzi czołgając się na brzuchu, jak wąż: ale niech ją tylko przejdzie, oho! zmyka prędzej niż zając—i co mu zrobisz? Przenosi przez granicę bezkarnie ładunek tytoniu, cygar albo koronek i drwi ze wszystkich strażników!

— A czyż niemożna do nich strzelać?— spytał Jartoux.

— Naturalnie, że się strzela - ale czyż

podobna trafić, jeśli jest tak ciemno, że ledwie się widzi koniec własnego nosa? a oni właśnie w takie noce wysyłają swoje psy w drogę. Nam — też psa koniecznie mieć trzeba, któryby węchem poznawał ich blizkość... Ach, gdybym tu miał mojego Zucha... Co to był za pies-- co za pies! Olbrzymi wodołaz, odważny jak lew, posłuszny, wierny... byłby się dał zabić za mnie—poczciwe psisko! Ten był wart swego imienia... ale co tam, lepiej już o nim nie mówić... Mówił jednak o swym ulubieńcu czasami stary brygadjer, a myślał daleko częściej, od czasu kiedy mu go przed trzema laty ukradziono. Kto to mógł zrobić? Ba! gdyby to Labat wiedział... no! Musiał to być jakiś nicpoń, kłusownik lub przemytnik, których nie brakło w Wogezach, gdzie wtedy nasz brygadjer pełnił służbę. Byłby go jednak odnalazł, pozostawając tam dłużej—albo wierny Zuch byłby do niego powrócił, wyrwawszy się z pod zamknięcia lub z obroży. Ale nieszczęśliwym trafem, Labat otrzymał wkrótce rozkaz przeniesienia się w Ardenny i stracił nadzieję odszukania ulubionego zwierzęcia. Ten wypadek był jednem z najcięższych zmartwień w jego życiu...



Śnieg padał cicho, wielkiemi płatami, zasypując skulonego w swym futrzanym worku Jartoux, który korzystał teraz z odpoczynku. Brygadjer czuwał, baczny na każdy szelest. Po kilka razy zrywał się, gdyż mu się zdawało, że widzi na dróżce leśnej cień jakiś... lecz cisza zupełna panowała wokoło. To też z łatwością usłyszał w gęstwinie, trochę na lewo, suchy, lekki trzask zdeptanej gałązki... o, to nie zapowiadało nic dobrego... A możeby rozbudzić Jartoux? Nie — jeszcze nie pora. Wziąwszy w rękę gruby kij, brygadjer zaczął iść ku zaroślom, skąd szmer podejrzany usłyszal, lecz tam już wszystko ucichło.

Było już jednak przeznaczonem, aby ta noc nie przeszła spokojnie. Labat stracił drogę w ciemnościach, choć las ten znał, jak własną kieszeń: zdawało mu się, że powinien iść na prawo, to znów na lewo...

— Do licha! — szepnął — czyż podobna, żebym się zabłąkał? a jednak nie mogę sobie przypomnieć, gdzie się znajduję?

Zaczął iść prosto przed siebie, lecz noc,

ciemna zupełnie, oraz plątanina ścieżek leśnych, sprawiły, iż go ogarnęło uczucie przykrego osamotnienia. Czyż miał tu zginąć samotnie, w tym głuchym, olbrzymim lesie, pozostawiwszy również na łaskę losu swego towarzysza? Nie! oto tylko trochę wytrwałości, a wyjdzie stąd, pomimo śniegu, zasypującego oczy, pomimo ciemności...

Suchy trzask gałęzi w pobliżu, przerwał te myśli. Powstrzymując oddech, skradał się cicho, usiłując przebić wzrokiem ciemności, kiedy nagle... Co to było? jakiś kształt nieokreślony wyłonił się na chwilę z zarośli, przebiegł z szybkością strzały w poprzek ścieżkę, po której szedł Labat i zniknął w sąsiednich krzakach, Lecz rewolwer już błysnął w ręce dzielnego strażnika: huk strzału rozdarł ciszę nocy i natychmiast się rozległo posępne wycie i dziki skowyt bólu zranionego zwierzęcia. A więc trafił! Pozbył się przynajmniej jednego z pomocników tych łotrów, którzy go tyle kłopotu i nocy bezsennych kosztowali! Ale i pan zwierzęcia musiał być gdzieś niedaleko... O tak, Labat w tejże chwili przekonał się o tem: człowiek wysokiego wzrostu rzucił się nań tak gwałtownie i niespodzianie, że ręce jego, zgniecione w żelaznym uścisku, straciły władzę i rewolwer wypadł na ziemię. Lecz brygadjer broniąc się rozpaczliwie łokciami i nogami, zdołał się wyrwać, gdy potężne uderzenie bandyty pięścią w pierś, o mało go nie powaliło na ziemię.

Strażnik miał się już za ocalonego: ale złoczyńca w tejże chwili napadł na niego powtórnie, a w ręce jego błysnął długi nóż. Jednak siła brygadjera byłaby go ocaliła, gdyby nie zdradzieckie podstawienie nogi przez napastnika, które go obaliło na ziemię.

Teraz Labat ujrzał się zgubionym: widząc nad sobą nóż wzniesiony do ciosu, zawołał ostatnim wysiłkiem:

— Do mnie, Jartoux! Na pomoc!

Jakim sposobem głos jego został tak szybko usłyszanym?

Niespodziana odsiecz zatrzymała w powietrzu rękę zbójcy i zmusiła go do puszczenia swej ofiary. Stało się to tak szybko, że Labat, odurzony odebranemi uderzeniami i wciąż rozciągnięty na ziemi, widział to jak przez mgłę. Stopniowo jednak przytomność odzyskując, posłyszał odgłosy walki, a raczej krzyk wściekły i przekleństwa swego napastnika: teraz on prosił, krzyczał z bólu w niebogłosy!

— Brawo, Jartoux!—wyszeptał: dziękuję ci!—I powstał.

Jakież było jego zdumienie, gdy słaby blask zaróżowionego jutrzenką nieba, pozwolił Labatowi dostrzedz, że ten kto mu ocalił życie, rzucając się na zbójcę w chwili zadania ciosu, nie był jego podwładnym—nie! To był ogromny silny wodołaz, rozżarty szalonym gniewem, stojący nad powalonym, nawpół uduszonym przemytnikiem...

— Zuch! mój dzielny Zuch! To ty!

Pies skoczył do niego, skomląc z radości, liżąc mu ręce. Labat wzruszony, ściskał go jak przyjaciela. gdy w tem ręka jego, głaszcząc wierne zwierzę dotknęła czegoś wilgotnego, ciepłego... Spojrzał na dłoń, była we krwi! Czyż by Zuch był ranny? Ach, toż on sam go musiał zranić, strzeliwszy w gęstwinę... A ten jego dawny, wierny towarzysz, pomimo bólu, przybiegł na pierwsze wezwanie z pomocą! Kochany, poczciwy Zuch! Szybkim, gwałtownym ruchem, Labat schwycił w obie ręce wielką głowę psa, i całując ją zaczął szlochać z żalu. Może własną ręką odebrał mu życie? może rana jest śmiertelną? Opatrzywszy, jak mógł najlepiej, ranę Zucha, wystrzelił na wiatr parę razy. Jartoux odpowiedział również wystrzałem i wkrótce wszyscy trzej znaleźli się na posterunku. Czyż trzeba opo-

wiadać, jak pielęgnowano Zucha? Przyszedł też wkróce do zdrowia i był nieocenionym pomocnikiem swego pana w ciężkiej jego służbie. Wszyscy na parę mil wokoło, znają jego historję, którą Labat zawsze chętnie z najdrobniejszemi szczegółami powtarza. A gdy jaki turysta zwróci uwagę na medal wojskowy, błyszczący na mundurze brygadjera, ten zwykle przerywa:

— Medal? No tak, tak.. jestem z niego dumnym, ale prawdę mówiąc, to on powinien ozdabiać obrożę mego psa... Co, nieprawda Zuchu? Chodź tu do mnie, stary!

I serdecznym uściskiem obdarzał wiernego przyjaciela.

Młodzież Japonji.

„We wszystkich wycieczkach po krainie Wschodzącego Słońca towarzyszyli mi Japończycy, którzy mi wszystko pokazywali i objaśniali. W Kjoto zaprowadzili mnie do wyższej ludowej szkoły dla chłopców i dziewcząt, i tam przysłuchiwałem się w rozmaitych klasach wykładom gieografji, matematyki, angielskiego, rysunków i robót ręcznych. Gdy wchodziliśmy, cała klasa wstawała, a jakiś mały bęben występował naprzód i mówił. „Cieszymy się bardzo z pańskiego przybycia i spodziewamy się, że do swego kraju zaniesiesz miłe wspomnienie o naszej szkole". Wówczas odpowiadałem, że sprawia mi to wielką radość, iż mogę poznać japońskie dzieci i mam nadzieję, że przez usilną nad sobą pracę w szkole, wyrosną na dzielnych obywateli potężnego państwa, którego są dziećmi. Wchodziłem między nich i głaskałem je po głowach, a one figlarnie na siebie spoglądały i chichotały w swych ławkach. Potem na podwórzu szkoły zgromadziło się klasami 450 uczniów, a kiedy do nich podszedłem, poczęli wołać głośno „Banzaj", co znaczy „niech żyje!" Na pamiątkę musiałem przyjąć od nich kilka drobnych przedmiotów ich własnego wyrobu i dwie mapy Japonji, rysowane przez nich samych, które mi przypomniały moje własne szkolne czasy. Potem zdjęto nas w olbrzymiej grupie: siedzę tam z dwiema dziewczynkami na kolanach, a przed sobą i za sobą mam cały ogród tej świeżej młodości.

A potem te listy, które te dzieci pisywały do mnie! Codziennie otrzymywałem ich całą pakę i nie starczyło mi czasu na wszystkie odpowiadać. Pisane były na długich paskach miękkiego papieru, a treść ich bywała często tak wesoła, że pobudzała mnie do głośnego śmiechuu. Przeważnie zawierały pytania w rodzaju: „Ile pan masz lat? Jak się panu podoba Ja-

łych opiekunów, dawała im to, czego rodzice dać im nie mogli: naukę, pożywne jedzenie i dobre, czyste mieszkanie.

W trzecim roku istnienia ochronki, dziatwa, choć wzięta z uboższych jeszcze rodzin, niż lat zeszłych, była stosunkowo zdrowszą: dzieci nie chorowały na żadne zaraźliwe choroby, a lekarstw i pomocy doktorów nie potrzebowały prawie zupełnie, choć ich w tym roku było więcej niż dawniej, bo 46.

Jest to bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności, ponieważ zasoby ochronki są nieco mniejsze, niż lat zeszłych.

Doroczne zebranie stwierdziło, iż fundusze ochrony przedstawiają się jak następuje:

Pozostałość z roku ubiegłego	Rb.	500	kop.	—
Składki członków stałych	„	238	„	50
Ofiary nadesłane do redakcji	„	890	„	39
Z redakcji „Kurjera Warsz."		37	„	20
Część przypadająca na ochronkę z „kwiatka". .	„	600	„	—
Razem	„	2267	„	09

Wydatki były następujące:

Opłata za lokal . . .	Rb.	120	kop.	—
Pensja ochroniarki . . .	„	390	„	—
„ służącej	„	108	„	—
Produkty spożywcze . .	„	520	„	—
Wydatki na powiększenie inwentarza	„	6	„	10
Urządzenie święconego, popisu i wycieczki . . .	„	37	„	35
Wydatki kancelaryjne . . .	„	12	„	83
Razem	„	1195	„	28
	„	2267	„	09
	„	1195	„	28
Pozostałość na rok następny	„	1071	„	81

Skład Zarządu pozostał zeszłoroczny.

Jak widzicie więc, kochani czytelnicy, fundusze ochronki nie są w stanie świetnym; zaczynając czwarty rok swojego istnienia, nie ma ona, jak i pierwej, żadnych zapewnionych stałych dochodów, oprócz składek członkowskich i waszych ofiar.

Dzięki dobrym serduszkom, dzieci na zimę miały ciepłe ubranie i obuwie — jesteśmy też pewni, że i Święta Wielkanocne przyniosą im, za waszem pośrednictwem, kilka chwil radosnych.

Nie odstępujmy dzieła dobrego!

Przygoda muzyka.

Słynny kompozytor muzyczny, włoch Leoncavallo, miał w Londynie przygodę dość zabawną, która go spotkała z powodu nieznajomości języka angielskiego. U jednego z pierwszorzędnych krawców zrobiono mu garnitur, który leżał dobrze, tylko krój kołnierza miał jakąś drobną niedokładność: muzyk więc postanowił natychmiast pojechać w nowem ubraniu do krawca i zażądać poprawki. Nie będąc jednak pewnym, czy potrafi dobrze powiedzieć woźnicy adres mistrza nożyc, odchylił zwierzchnie ubranie, aby pokazać powożącemu nazwisko krawca umieszczone na wewnętrznej stronie kołnierza. Flegmatyczny syn Albionu zrozumiał, iż gość chce, aby go za kołnierz wciągnięto do karetki: więc choć zdziwiony podobnem żądaniem, ujął maestra za kołnierz, wciągając go do powozu. To oburzyło porywczego Włocha: ściąga więc z siebie nieszczęsną marynarkę i podsuwając pod oczy woźnicy wyszyty na podszewce adres, wywija rękami i krzyczy rozgniewany. Policjant, stojący w pobliżu, wi-

dząc w dorożce człowieka bez zwierzchniego ubrania, gestykulującego z krzykiem, był przekonanym, iż ma przed sobą obłąkanego.

Powiózł go więc mimo jego oporu do najbliższego posterunku, gdzie dopiero ktoś znający język włoski, posłużył za tłomacza i oswobodził muzyka z niemiłego położenia.

Tak to znajomość obcych języków przyda się zawsze i wszędzie!

KRONICZKA.

△ Twierdza Janina na półwyspie bałkańskim, po długotrwałem i uciążliwem oblężeniu poddała się armji greckiej. Zwycięztwo to dużo naprzód posuwa sprawę zawarcia pokoju.

△ W Stanach Zjednoczonych, w pobliżu Baltimore, wybuchnął na barce dynamit. Śmierć odniosło 110 osób, rany zaś 150.

△ W dniu 4-m Marca r. b. objął rządy nowy prezydent Stanów Zjednoczonych, Wilson.

△ Na morzu Północnem, wskutek starcia z krążownikiem „York", zatonął torpedowiec niemiecki „S. 178". Panująca burza utrudniła ratunek, tak że z fal morza zdołano wyratować zaledwie 15 marynarzy, 68 zaś, oraz 2 oficerów, znalazło śmierć w głębinach.

△ Lotnik francuski, Guillaume, dokonał na jednopłatowcu lotu z Savigny do Paryża, a więc na przstrzeni 190 kilometrów w przeciągu jednej godziny.

△ Pod Skutari odniosła porażkę kolumna serbska, pod wodzą pułkownika Popowicza.

Przysłowia wiosenne.

Z wielkiej ilości przysłów, istniejących w języku naszym, zwanych, choć nie zawsze słusznie „mądrością narodów", sporo ich odnosi się do pory wiosennej, jako czasu budzenia się przyrody, a tem samem i początku prac rolniczych. Wybieramy tu tylko najcharakterystyczniejsze, lub mniej znane:

Święta Weronika — słonko pomyka.

— — —

Jeśli o świętym Pietrze ciepło służy,
Do Wielkiej Nocy zima się przedłuży.

— — —

Młoda rada i marcowa pogoda skutku nie mają.

— — —

Ile mgieł w Marcu, tyle deszczów w Czerwcu.

— — —

Co Marzec wypiecze, to Kwiecień wysiecze.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: Marja Bujno-Arctowa. Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3